

W ANTRAKCIE

Żabi rechoł klasyka

Jak grać dziś Arystofanesa, najwybitniejszego greckiego komediopisarza, i czy w ogóle grać?

Problem jedynie w tym, że sztuki Arystofanesa operowały aktualną aluzją, odnosiły się do faktów, które współczesnemu widzowi nic już nie mówią. Jeśli jednak odwirujemy tę dosłowność odniesień, a poprzestaniemy na uogólnieniach, okaże się, że świat polityki jest jednakowo brudny od dwóch tysięcy sześciuset lat, a jego przedstawiciele tak samo zdemoralizowani i arogancy. Dlatego największy ciężar odpowiedzialności za prezentację komedii Arystofanesa „Żaby” spadł nie na Jerzego Grzegorzewskiego – pomysłodawcę wystawienia tej sztuki w Teatrze Narodowym, nie na debiutujących w tej profesji reżyserów – Zbigniewa Zamachowskiego i Wojciecha Malajkata, ale na autora „parafrazy” – wybitnego krakowskiego polonistę i tłumacza Bronisława Maja.

W „Żabach” załatwiał Arystofanes swoje porachunki osobiste, polityczne i ambicjonalne, używając języka nie tylko obelżywego, ale często wręcz plugawego, bowiem identyfikował się z prostym ludem i do tych widzów – a nie do elit prowadzących państwo ku zgubie – adresował swoje teksty. Jak więc zachować charakter tych wulgarnych niekiedy dowcipów na granicy obsceniczności, nie raziąc uszu współczesnego odbiorcy?

– Język Arystofanesa to najczystszy język potoczny Aten. Ten erudyta miał świadomość tradycji i gatunku, w jakim się poruszał – mówi Bronisław Maj.

By zrozumieć w pełni „Żaby”, trzeba poznać ich historyczne tło. Ateny w 405 r. przed Chrystusem są zagrożone ostatecznym upadkiem. Od 25 lat trwa wojna peloponeska, bratobójcze walki między Spartą a Atenami wyniszczają społeczeństwo, szerzy się głód, rozpacz, zwątpienie. W tej atmosferze toczy się bezwzględna, cyniczna walka o władzę. Nieodpowiedzialni politycy tracą resztki autorytetu. Lud wrze i buntuje się przeciw władzy prowadzącej kraj



foto Andrzeja Karolaka

do zguby. Osia fabularną utworu jest pomysł Diogenesa, by zejść do Hadesu i sprowadzić na ziemię poetę, który zdołałby odrodzić naród i kraj. I Sofokles, i Eurypides dawno już nie żyją.

Niestety, zawodzą także artyści, zarażeni cynizmem od polityków. Nie ma więc ratunku. Ta komedia – tyleż śmieszna, co tragiczna w swojej wymowie – z natury rzeczy musi dziś budzić skrajnego jakością polskiego establishmentu. Tym tropem poszedł więc i Bronisław Maj. Znajdziemy w spektaklu wyraźne aluzje do postępków naszych polityków, cytaty niemal żywcem wyjęte z wypowiedzi Leppera, a nawet Ministra Kultury i Sztuki, co oczywiście budzi żywy oddźwięk widzowi.

Trochę to jednak za mało na skupienie uwagi widza przez ponad dwie godziny spektaklu. Nie każdy też bez znajomości rodowodu komedii Arystofanesa przyjmie z dobrodziejstwem inwentarza grubiańskie niekiedy żarty. Wiele jest jednak w przedstawieniu zaskakujących scen i pomysłowych rozwiązań inscenizacyjnych, wiele pięknie plastycznie skomponowanych obrazów, wiele spontanicznych pomysłów, nieobciążonych rutyną reżyserską.

Zamachowski i Malajkat udowodnili, że mimo złośliwych recenzji fach reżyserski może stać się ich żywiołem. A że pozycja, którą przyszło im realizować, obfitowała w rafy i zasadzki, muszą ponownie zmierzyć się z tekstem

atrakcyjnym, trafiającym do widza, a nie tylko do filologów i historyków sztuki.

W spektaklu oglądamy z zainteresowaniem drugie pokolenie aktorskie. Maciej Małecki, syn Anny Seniuk, radzi sobie świetnie w roli Diogenesa. Grzegorz Turnau debiutuje na deskach Narodowego nie tylko jako autor muzyki, ale też w aktorskiej roli przemieszczając się po scenie, wprawdzie nie na Hondzie, ale na rowerze. Chór żab wdzięcznie akompaniuje akcji, prezentując wdzięki i kunszt wokalny płci pięknej narodowej sceny. A że *de gustibus non est disputandum*, na pocieszenie młodych reżyserów warto dodać, że są i tacy, którym przedstawienie podoba się w całości.

HANNA KAROLAK